

Powieść, która miesza w naszych narracjach emigracyjnych

# Polka do zjedzenia w Niemczech

W ostatniej dekadzie PRL-u z Polski wyjechało ponad milion rodaków, jedna piąta – z wyższym wykształceniem. Ówczesna literatura tworzyła rozproszoną epopeję owej fali w ciemnych barwach. Brygida Helbig pisze inaczej

Anioły i świnie w Berlinie! Fikcja literacka  
Brygida Helbig  
Kwadrat, Szczecin

## Przemysław Czapliński

**N**a początku lat osiemdziesiątych Republika Federalna importowała z Polski kilka pociągów młodych, żądnych przygody i dobrobytu ludzi. Wywieziono ich do małej miejscowości Anrath w okolicy Krefeld, aby tam uczynić ich użytecznymi dla znużonego dobrobytem i monotonią, łaknącego świeżych wrażeń niemieckiego społeczeństwa. Tak rozpoczyna się emigrancka opowieść Brygidy Helbig „Anioły i świnie w Berlinie!” – pisarki, która wyjechała do Niemiec w latach 80., zdobyła zatrudnienie na slawistyce na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, potem napisała pierwszą książkę („Pałowa”; 2000) poświęconą dzieciństwu, a teraz dołączyła do tego grona – o wkraczaniu w dorosłość. I jest to książka nieprzewidywalna, śmieszna, zaskakująca.

W opowieści tej najciekawsze jest połączenie satyry z czułością. Oto autorka przedstawia historię młodych emigrantów, których Niemcy zachodnie przyjęły nie

z powodu uznania dla „Solidarności” i nie z racji współczucia z powodu stanu wojennego, lecz z przyczyn konsumpcyjno-egoistycznych. Niemcy chcieli odświeżyć swoje żołądki, pobudzić krążenie krwi, podrażnić podniebienie. Dlatego zabrali się do przetwarzania „towaru z Polski” – przyjęli półprodukty, które trzeba było zmienić na produkty pełnowartościowe. Z perspektywy autorki było to jak tuczenie istot przeznaczonych do zjedzenia. „Wywiezieni (...) otrzymali status późnych przesiedleńców i wszczęli stosunkowo beztroski żywot stypendystów Otto Bennecke Stiftung pobierających codziennie naukę języka niemieckiego, a co miesiąc pięćset marek w banku”.

Dalszy ciąg jest prosty, choć przecież heroiczny: bohaterka opowieści Gisela Stopa, idzie na studia, wychodzi za mąż, adoptuje dziecko, a nade wszystko – zaczyna tworzyć literaturę. Po studiach zostaje na uniwersytecie, ale kiedy wszystko jest na najlepszej drodze, kiedy Gisela mentalnie pożegnała się z pierwszym mężem i zaczęła pracować nad drugim, kiedy Polska wkroczyła do Unii – następuje likwidacja polonistyki w Berlinie. W ostatniej scenie Gisela kroczy ulicami Berlina otoczona aniołami. Anioły „wirowały nad wiaduktem S-bahnu, nad hotelem Maritim, ambasadą amerykańską i nad domem towarowym Dussman, nad rusztowaniami i dźwigami, z których co rusz spadały polskie kurwy. Wielkoduszenie rozpinały nad Gisela swe wielkie, białe skrzydła”.

Zakończenie to jest przykładem stylu Helbig. Stylu i koncepcji. Jej bohaterowie, a zwłaszcza bohaterki, pozostają niewolnikami metafor, zgodnie z którymi żyje społeczeństwo. W debiutanckiej powieści



dorosła bohaterka odkrywała, że wychowano ją na istotę, która za wszelką cenę chce być lubiana. Dziewczynka staje się więc niewolnikiem otoczenia, robiąc nie to, co pragnie, lecz to, co zaskarbia jej sympatię innych. Gisela trafia do społeczeństwa, które przechodzi szybką ewolucję – od produkowania do konsumowania. Usiłuje zatem sprostać dwóm modelom kobiecości: reproduktywnemu (urodzić dziecko!) i „restauracyjnemu” (bądź smaczna!). W obu wariantach jest wykorzystywana, dlatego że pragnie dopasować się do zbiorowych życzeń. Kiedy zaś strona konsumująca jest już nasycona, nadchodzi klęska.

Wszystko to jednak Helbig opowiada z humorem. Oczywiście, jest nam smutno, chcemy krzyknąć: „Hej, Gisela! Nie daj się zjeść!”, ale równocześnie komizm dialogów, strategia naiwności i mieszanika stylistyczna powodują, że ten śmiech ożywia opowieści – wchodzi do nich i zaczyna tam robić cudowny bałagan.

Miesza przede wszystkim w naszych narracjach emigracyjnych. W latach 80. z Polski wyjechało ponad milion rodaków,

jedna piąta – z wyższym wykształceniem. Nie dziwota więc, że literatura poprzedniej dekady tworzy rozproszoną epopeję tej fali emigracyjnej. Dominowały w niej barwy czarne. Od Edwarda Redlińskiego poczynając („Dolorado” i „Szczeropolać”), poprzez Krzysztofa Marię Załuskiego („Tryptyk bodęński”), aż po Piotra Siewiona („Niskie Łąki”) pisarze powtarzali zestaw podobnych obrazów: kto zarabia na Zachodzie, ten albo jest niewolnikiem swego pracodawcy, albo sprzedaje swoje talenty poniżej ceny, albo rezygnuje z własnych zasad moralnych. A skoro tak, to najlepiej świadczy o Polaku, jeśli wraca do kraju i przywozi puste kieszenie – bo to znaczy, że ani nie dał ciała, ani duszy. Właściwie pierwszą książką opowiadającą o udanym życiu na emigracji była niedawna „Z głowy” Janusza Głowackiego, w której autor wyznawał, że kiedyś postanowił podbić Zachód i że dopiął swego.

Najwartościowsze okazywały się te opowieści, w których pisarze wychodzili poza opozycję „polskie – obce” i poddawali głębszej refleksji zjawisko emigracji. Bronisław Świdzki na przykład, autor jednej z najciekawszych i najsukcesowniej zapomnianych powieści nowego okresu, „Słowa obcego” (1998), opowiadał o przybyciu do zachodniego kraju w konwencji opowieści o przybyciu do kosmosu, uświadamiając w ten sposób sumę różnic dzielących dwie egzystencje tułacza. Manuela Gretkowska w pamiętnym debiucie „My zdies’ emigranty” (1992) pokazywała Paryż, w którym wszyscy są emigrantami, więc nikt nie jest „tutejszy”, ale też nikt nie jest swój. Natasza Goerke w kolejnych tomach opowiadań odnajdywała obojętą charakterystyczną dla emigracji w każdym społeczeństwie i w każdym

człowieku. Zbigniew Kruszyński, jeden z najwybitniejszych prozaików-lingwistów, w swoich fascynujących narracjach opowiadał o emigracji jako o wchodzeniu w nowy język – doświadczeniu, które jest nie tylko pasmem klęsk, lecz które także powoduje, że człowiek wyobcowuje się z własnej kultury i własnego języka.

Książce Helbig zdecydowanie bliżej do tych drugich – indywidualistów, którzy snują własną opowieść, przy okazji problematyzując rozmaite obrazy emigracji. Opowiada o sukcesach i klęskach życia emigracyjnego, pozornie przejmując zużyte określenia: „polskie świnie w Berlinie”, „anioły czuwające nad Polakami”, „Niemcy łaknący świeżej krwi” – to wszystko mogło źle się skończyć. Ale pozorna naiwność narracji powoduje, że język wyłazi na powierzchnię i staje się jednym z bohaterów. W rezultacie ironia zagarnia wszystko: Niemców, naszych emigrantów, bohaterkę, lecz także schematyczne i banalne wzorce opowieści. Jeśli Polka mówi o sobie i swoich rodakach „świnie w Berlinie”, jeśli pokazuje, jak owe „świnie” upominają się o swoją indywidualność, to z pewnością nie ma na myśli „die Polnische Schweine”. Nie powieła zatem niczyjego spojrzenia. W jej pisaniu jest równie wiele smutku, co życia, tyleż melancholijnego śmiechu, co odwagi.

Ta książka to radosny moment dla literatury. Najpierw dlatego, że otwiera nową serię prozatorską (szczecińskiego wydawnictwa Kwadrat). Przede wszystkim zaś dlatego, że oto przybyła osoba, która uznała nas za wystarczająco inteligentnych i dowcipnych, aby opowiedzieć nam swoją historię. Byłoby świetnie, gdyby od czasu do czasu wracała z kolejną. ♦